

ARNOLD GOLSWORTHY.

Krzyk w nocy.

I.

W odległości kilkudziesięciu kilometrów od Londynu, w kierunku wzgórz Surrey znajduje się małe miasteczko Greenleafhurst z jedną tylko szerszą a zarazem krętą ulicą, kończącą się przy starej, dobrze rentującej się oberży pod Czerwonym Lwem.

W najbliższym jej sąsiedztwie, oddzielonym jednak kilku biednymi, małymi domostwami, stała ferma Muskina, najbardziej obiecującego młodzieńca w okolicy. Pomimo, iż posiadał on spory szmat ziemi, rolnictwem zajmował się bardzo mało, twierdząc, iż w tych stronach nie wielkie ono przynosi zyski, a ponieważ zaś był chciwy na pieniądze, cały swój spryt i przedsiębiorczość zwrócił do handlu bydłem, ponadto jeszcze trudnił się piekarstwem i mleczarstwem. Słusznie też wrócono mu świetną przyszłość.

Idąc tą samą drogą dalej, napotykało się drobne posiadłości tamtejszych mieszczan, z boku zaś wznosił się zamek Greenleafhurst, siedziba sir Johna Lesterham. Wybudowany za czasów królowej Anny, stał on pośrodku wielkiego parku, za którym widniały mury miejskiego kościoła.

Na drugim końcu miasteczka, prawie że na samym jego skraju, w miejscu jak najmniej odpowiednim mieścił się urząd pocztowy, którym kierował od blisko ćwierć wieku pan Josiak Ponderbury, człowiek ogólnie lubiany za swoją uprzejmość. Tylko połowa jego biura była przeznaczona do dyspozycji rządu Jego Królewskiej Mości, w drugiej bowiem urządził on skład z papierami i dziennikami, stając się przez to jedynym protektorem literatury w tym zakątku świata. Choć zajęcia jego nie bardzo były skomplikowane i nie wiele mu zabierały czasu, chętnie jednak wyręczał się w nich córką swą miss Adą Ponderbury, by, jak mawiał, zebrać siły na podróż na tamten świat.

O ćwierć kilometra dalej znajdowało się znowu kilkanaście domów, wśród których pierwsze miejsce zajmował dość duży drewniany, na kamiennym podmurowaniu dom, otoczony niewielkim ogródkiem. Na froncie jego widniała biała marmurowa tablica z napisem:

Wilfred Alliston, Magister nauk wyzwolonych.

Szkoła prywatna.

Zakład ten nankowy, założony przed dziewięciu laty, cieszył się wielkim uznaniem w całej okolicy. Nie tylko bogatsi ale i biedniejsi mieszkańcy posyłali tam na naukę swoje dzieci, twierdząc, iż więcej one tu korzystają, niż w szkole rządowej, która, według wyrażenia miejscowego proboszcza, nie może wykształcić nawet obywateli trzeciej klasy.

W szkole tej przy otwartym oknie siedział w letni wieczór Wilfred Alliston zajęty pisaniem sprawozdania z zakończenia roku szkolnego. Chociaż wakacje już się zaczęły, był on jednak dnia tego więcej zajęty niż zwykle. Obok niego leżał na stole list, do którego zwracał mimowoli bezustannie swe oczy. Sądząc z daty był on napisany przeszło przed miesiącem.

Wilfred przerwał na chwilę swą pracę i wziął go znowu do ręki, by przeczytać może po raz setny:

Lima 31 maja.

Moje drogie dziecko!

„Los wreszcie uśmiechnął się i do mnie i może już wkrótce ujrzę cię drogi synu. Przeszło 20 lat, jak cię nie widziałem; w ostatnim liście dostałem twą fotografię, obecnie posyłam ci swoją. Czy i mnie znajdziesz tak zmienionym, jak ja Ciebie? Niedługo się przekonamy o tem.

„Wyjeżdżam do Anglii w piątek i prosto przybędę do Ciebie. Po wylądowaniu wyślę depeszę, byś wiedział, o której godzinie przybędę do Greenleafhurst. Czy znajdę na dworcu konie, bo jak piszesz, cztery kilometry jest od Ciebie do kolei. Lecz jakież śmieszne zadaje pytania! przecież nie będzie już miał czasu na odpowiedź! Nie kłopotz się tem, mój chłopcze, łatwo znajdę Twe mieszkanie.

Nie piszę więcej, gdyż wkrótce zobaczymy się. Niech Cię Bóg błogosławi.

Twój kochający Cię zawsze ojciec
Ryszard Alliston“.

Ojciec i syn żyli złączeni z powodu zwyczajnych zupełnie kolei życiowych. Ryszard Alliston pełnił urząd sekretarza w konsulacie angielskim w Limie, stolicy Peru. Przed kilkudziesięciu laty

przybył on na krótki czas do ojczyzny i wtedy, urodził się Wilfred, matka jednak jego przyjście na świat przypłaciła swem życiem. Ojciec zabrał ze sobą syna i wrócił do Peru, gdzie Wilfred chował się do dziewięciu lat, klimat jednak tamtejszy wywierał na niego coraz gorszy wpływ, tak iż ojciec zmuszony był odesłać go do kraju do swych krewnych, którzy wychowali go na dzielnego człowieka.

Ojciec nieraz układał sobie w myślach podróż do Anglii, by zobaczyć się z synem, lecz za każdym razem stało mu coś na przeszkodzie. Peru w tych czasach przeżywało okres wstrząszeń państwowych i gdy nie było w otwartej wojnie z swą sąsiadką Chili, musiało uśmierzać wewnętrzne rewolucje i powstania. Obowiązek więc ciągle zatrzymywał go na miejscu. Potem przyszły wydatki na odpowiednie kształcenie syna, co nadwyrężyło bardzo budżet domowy pana Allistona, utrzymującego się tylko z swej pensji urzędniczej. By wynagrodzić sobie tę przymusową rozłąkę prowadził on z synem ożywioną korespondencję, podtrzymując i rozbudzając w dziecku uczucia przywiązania i miłości dla prawie nieznanego ojca. Jedno tylko między nimi zaszło chwilowe nieporozumienie, gdy ojciec oznajmił, iż ożenił się po raz wtóry. Wilfreda dotknęła bardzo ta wiadomość, uważał bowiem, iż został przez to pozbawiony miłości ojcowskiej i w przystępie gniewu napisał do niego ostry bardzo list, zaraz jednak pożalował swego uczynku i wysłał drugi, prosząc w nim o przebaczenie. Ojciec nie zrobił mu żadnego wyrzutu, nigdy jednak już ani słowem nie wspominał o swej żonie. Sądząc z treści obecnego listu, powracał on sam do kraju.

Wilfred rozmyślał o tem wszystkiem, gdy nagle z zadumy wyrwała go nadchodząca do okna wysoka, okazała postać męska o jowialnej, dobroduszej uśmiechniętej twarzy.

— Ach, pan Ponderbury, dobry wieczór: zastał mnie pan rozmarzonego.

— Zupełnie to przystoi młodemu człowiekowi, który pragnie, aby jak najprędzej jakie piękne rączki zarzuciły mu na szyję jarzmo małżeńskie. Ale niech pan zgadnie, z czem przychodzę? — odpowiedział urzędnik pocztowy.

— Co takiego? — zapytał żywo Wilfred, wstając i podchodząc do okna — list?

— Depesza, w tej chwili przyniesiono mi ją z kolei: cztery mile po sześć pensów stanowi dwa szylingi, które pan pozostaje winien, za dostarczenie do domu depeszy nie się nie należy, gdyż sam się tego podjąłem.

— Dlaczego pan to robi? — zapytał Wilfred, przekonany, iż Ponderbury miał w tem jakiś interes.

— Aby zobaczyć pańską minę, gdy pan będzie czytał — odpowiedział urzędnik, śmiejąc się wesoło.

Wilfred rozerwał depeszę i zawołał z radością: Wreszcie!

— Więc przybywa? odgadłem dobrze?

Młody nauczyciel przeczytał głośno otrzymaną wiadomość:

„Opuszczam Waterloo o szóstej; nie spotykaj: na dworcu mam widzieć jedną osobę. — Ojciec“.

— O szóstej godzinie — powtórzył Ponderbury wyjmując z kieszeni swój wielki zegarek. — A więc ojciec zaraz przyjedzie, gdyż jest pół do ósmej. Na dworzec przybył przed siódmą, a kołmi jedzie się tutaj tylko pół godziny.

— Ależ ojciec ma przedtem kogoś widzieć — odpowiedział Wilfred — nie wiedziałem, że ma tutaj znajomości, kto to może być?

— Ciekawość pańska zaspokoi po przyjeździe. Joe Muskin będzie bardzo zadowolony, że pan nie jedzie na kolej; słowo daję, westchnie, gdy się o tem dowie... i Ponderbury roześmiał się, jakby komu spłatał figla.

— Nie rozumiem dobrze, dlaczego?

— Bo pan nie wie, że powiedziałem Muskinowi, aby zawiózł pana na dworzec swoim kabrioletem.

— Bardzo dziękuję za troskliwość — przerwał Wilfred — ale jeszcze nie...

— O, to nie złego — śmiał się dalej urzędnik — lubię nieraz wprawić w kłopot Muskina, on taki skąpy i nieużyteczny, żałuje nawet swego konia. Gdym chciał, by pana zawiózł, zaczął stękać, że jego klacz zmęczona, choć wiedziałem, że sam ma udać się w tę samą stronę do miasta na jarmark.

— W takim razie — zaczął Wilfred...

— Hop! hop! — zawołał ktoś z drogi i nauczyciel ujrzał, jak Joe Muskin wyskoczył z wózka i zaczął z niepokojem obmacywać kolana swego konia, jakby obawiał się, czy przypadkiem nie zmorłował on się przebieżeniem pół kilometra. Potem Muskin zbliżył się do okna.

— Dobry wieczór! — rzekł, kłaniając się swą niekształtną głową.

Wilfred oddał mu ukłon uprzejmie, mimo iż nie żywił wielkiej sympatii dla młodego handlarza bydła, skapstwo którego było powszechnie znane. Jeden tylko Ponderbury umiał trafić do niego, wykorzystując swój wpływ, jako przyszły jego teść. Miss Ada wbrew bowiem woli swej rodziny i przyjaciół, zaręczyła się z nim i ślub miał się odbyć niedługo.

— Co to, Joe, klaczka ci się ochwaciła? — zapytał urzędnik z miną pozornie współczującą, a oczy mu tylko świeciły się drwiąco.

— Nie, ale zmęczyła się porządnie — odpowiedział Muskin niechętnie, podejrzewając szczerą okazywanego mu współczucia.

— Niech mi pan wierzy — że jestem bardzo zobowiązany, panie Muskin... — zaczął Wilfred.

— O, to drobnostka — przerwał urzędnik. — Joe jest szczęśliwy, iż mógł zboczyć trochę z drogi, by zrobić przysługę bliźniemu.

I roześmiał się głośno z widocznym szyderstwem. — Jednakże — mówił dalej nauczyciel — nie mogę skorzystać z pańskiej uprzejmości, gdyż nie jadę na dworzec.

— Oh! — pospieszył odpowiedzieć Joe — bardzo mi to przykro, rad byłbym zabrać pana z sobą. Widząc, że nic nie będą od niego żądali, chciał się okazać choć w słowach uczynnym.

— Ależ istotnie — nie przestawał kpić urzędnik, spoglądając na konia, który bił niespokojnie kopytami o ziemię — byłoby okrucieństwem męczyć zwierzę, które ledwo dyszy.

— A tak, tak, dyszy, bo się ochwaciło — potwierdził znowu farmer.

— W takim razie poradzę ci, mój drogi Joe, odprowadź konia z powrotem, wydój krowę, daj mu się napić ciepłego mleka i połóż go do łózka; przekonasz się, że przy takiej kuracji zaraz wyzdrowieje.

— Eh! proszę mi nie radzić! — zawołał rozniewany już tym razem Muskin i siadając do wózka, odjechał pospiesznym.

— Skończył tylko list, który zacząłem pisać — rzekł Wilfred i pójde na spotkanie ojca, w każdym razie będzie musiał przejeżdżać przez miasteczko.

— Jeżeli nie będę panu przeszkadzał, to poszedłbym kawałek drogi razem; sklep zamknąłem już przed wyjściem.

— Bardzo się cieszę z tej propozycji, weale mi pan nie będzie przeszkadzał, moi przyjaciele będą przyjaciółmi i dla mego ojca.

— W takim razie zapalę swoją fajeczkę i poczekam.

Wilfred zaśwycił lampę i pospiesznym zaczął pisać. Gdy skończył, na dworze zapanował już zupełny mrok, było kompletnie ciemno.

— Nie bardzo przyjemnie iść o tej porze, gdy nawet gwiazdy nie świecą — zauważył Ponderbury wychodząc ze szkoły.

— Oh, ja już przyzwyczailem się do tego — odparł Wilfred — nie raz zdarza mi się iść i później w nocy, gdy wracam od proboszcza. Zresztą, czegoż można się obawiać?

— Niczego, zresztą nie wiem — przyznał się lekko stary urzędnik — w każdym razie wolę być o tej porze u siebie w domu.

— Chyba nie wierzy pan w duchy?

— Duchami nie zajmuję się, lecz mrok w pustym miejscu sprowadza nieraz dziwne myśli.

Przez kilka minut szli w milczeniu; opuścili już miasteczko, w którym gdzieniegdzie błyszczało światło w oknach i teraz droga prowadziła ich przez opustoszałe kamieniste pola, zarosłe tylko chwastami. By położenie ich uczynić jeszcze mniej przyjemnym, niebo przystąpiło się czarnymi chmurami, tak iż nie mogli widzieć się już wzajemnie, słyszeli tylko swe kroki.

— Deszcz zaczyna padać — odezwał się Ponderbury — kropla padła mi na rękę.

— I mnie się zdaje; istotnie noc ta nie jest bardzo miła.

— Możebyśmy wrócili? ojciec pański z pewnością przejechał inną drogą, w przeciwnym razie spotkalibyśmy go już.

— To prawda — przyznał Wilfred ku wielkiej radości starego urzędnika — w tych ciemnościach możemy go nie zauważyć, a przytem zaczyna się zaraz ulewa.

— Ale przed nami jest jakieś światło — zauważył Ponderbury.

— Tak; świeci się ono w szopie cygańskiej.

Ta szopa cygańska był to szalas sklecony z desek, stojący pośrodku bezpłodnych pól Greenleafhurst. Początkowo był to barak przeznaczony dla bydła, z biegiem jednak czasu stał on się nie uży-